Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 263 (Rok XV, Nr 3) 1 lutego 1955 Cena (Price) 1/6

WYSIĄŚĆ NA PRZYSTANKU KULTURA?

Od czasu nieudanej farsy wyborów polskich w Wielkiej Brytanii przycichła skompromitowana i wsteczna teza, że społeczeństwo jest apartyjne, że stronnictwa nie mają żadnego znaczenia, a masa uchodźcza stoi zwarcie murem za bezpartyjnymi władzami państwowymi na wygnaniu. Znane sprzed wojny twierdzenie propagandowe, że społeczeństwo jest patriotyczne i bezpartyjne, po żołniersku karne wobec rządu, twierdzenie godne oświeconych absolutystów z ubiegłego wieku, zbankrutowało.

Pojawiła się natomiast nowa teza, jeszcze bardziej rozkładowa. Wychodzi ona z nieco innych kół, bardziej „liberalnych" i „postępowych", ale odznaczających się równie lekceważącym stosunkiem do narodu. Teza ta brzmi z grubsza tak: ani wszystkie stronnictwa razem, ani żadne władze na wygnaniu nie mają znaczenia; polityka obchodzi tylko drobną grupę londyńskich działaczy; polska masa emigracyjna w świecie nie interesuje się żadną polityką na emigracji; jest ona głęboko patriotyczna, a swój patriotyzm wyraża wysyłaniem paczek do kraju i interesowaniem się tym, co się tam dzieje, natomiast politycznie jest obojętna; politycy emigracyjni powinni odejść, a patriotyczna apolityczna masa powinna sama się zorganizować w sposób polonijny.

Teza ta jest nieprawdziwa. Wymyślona ona jest przez intelektualistów emigracyjnych nie mających styczności z życiem rzeczywistym masy polskiej w świecie, a spotykających się tylko albo z politykami „week-endowymi", albo z tymi nielicznymi inteligentami polskimi, którym udało się dorobić i którzy pragną jak najszybciej wtopić się w społeczeństwo miejscowe. Ogromną większość emigracji stanowią we wszystkich krajach ludzie ciężko pracujący i nienajgorzej zarabiający, ludzie, których wydarzenia ostatnich lat kilkunastu nauczyły znaczenia polityki dla życia nie tylko narodu, ale i jednostki. Oczywiście wysyłają oni paczki do kraju, lecz nie uważają aby na tym ich obowiązki polskie się kończyły. Wysyłanie paczek jest utrzymywaniem więzi rodzinnej i przyjacielskiej, jest akcją charytatywną, ale nie działaniem patriotyczno-politycznym. Przeciętny emigrant rozumie zarówno potrzebę polityki polskiej w świecie jak i to, że trudno ją prowadzić. Jeśli wyrzeka na polityków emigracyjnych, to nie dlatego by uważał ich za niepotrzebnych, ale dlatego, że jego zdaniem mało lub źle działają. Jeżeli bywa zniechęcony do polityki emigracyjnej, to dlatego, że widzi nikłe jej skutki, słyszy więcej o sporach personalnych niż ideowych, a sam nie umie znaleźć wskazówek działania.

Przy całym tym, czasem szczerym, a czasem nieco obrzędowym wyrzekaniu, rozproszona masa polska (jeśli można mówić o masie rozproszonej) jest nie tylko patriotyczna, ale jest bardziej politycznie uświadomiona niż przeciętna masa w kraju demokratycznym. Nie widzi ona jednak, co w chwili obecnej zdziałać w świecie polityki międzynarodowej i nie wystarcza jej jako łącznik między życiem codziennym a tą polityką akademia patriotyczna dwa razy do roku.

Ta masa ma znacznie zdrowsze nerwy i bardziej zrównoważony sąd od wielu intelektualistów szukających skrajnych i efektownych „rozwiązań". Nie wtapia się ona w obce otoczenie i reaguje bardzo pozytywnie ilekroć postawią jej politycy przed oczy konkretny cel. W obecnym położeniu nie zawsze widzi ona konkretny cel w zapisaniu się do polskiego stronnictwa czy nawet do polskiego patriotyczno-akademiowego stowarzyszenia. Czy znaczy to, że nie uważa się za emigrację polityczną, że godzi się na rolę przejściowej grupy narodowościowej, „New Australians", „Nuevos Argentinios", „Americans of Polish descent", „Naturalised Britons"? Kto ma łączność z tymi ludźmi wie, że tak bynajmniej nie jest. Wie, że każda istotna zmiana położenia międzynarodowego, polskiego w świecie, nawet po dłuższym okresie czasu, znajdzie tych Polaków gotowymi do działania, nawet do dużych poświęceń.

Kryzys psychiczny czy raczej nerwowy, ogarnia nie masy polskie w świecie, lecz marginalne grupy polskiej inteligencji w wielkich miastach obcego świata. Swoją własną chęć „wysiąścia na przystanku: kultura", przerzucają oni na całość społeczności emigracyjnej, którą to całość znają bardzo słabo.

SOWIETY A „SATELICI"

W części prasy zachodnio-europejskiej, głównie angielskiej, zaczyna się mówić ostatnio o tzw. rozluźnieniu kontroli sowieckiej nad państwami satelickimi. Rozumiejąc takie komentarze jako niewiele znaczący i pusty gest w grze koegzystencjalistów, trzeba im jednocześnie zaprzeczyć jak najbardziej stanowczo. Nie odpowiadają one rzeczywistości, gdyż za grą sowiecką kryją się fakty mówiące coś zupełnie innego.

Komentatorzy wysuwający tezę rozluźnienia mówią z jednej strony o osłabieniu roli policji politycznej dyrygowanej z Kremla, a z drugiej o wy-

cofaniu wielu doradców i specjalistów sowieckich z krajów podbitych. Dowodem pierwszego twierdzenia jest fakt zwolnienia z więzień ludzi związanych z procesami o tzw. titoizm, drugie twierdzenie podawane jest bez powodów.

Nawet zwolnienie tzw. narodowych komunistów nie byłoby żadnym dowodem łagodniejszego kursu, gdyż zwolnienie nie oznacza przywrócenia do władzy. Poza tym, ci narodowi komuniści byli w swoim czasie aresztowani nie za to co zrobili lub co mieli zamiar zrobić w sensie uwolnienia się od zbyt przemożnej kontroli Moskwy, ale za to co mogłoby się stać, gdyby im pozostawiono możność teoretyzowania na temat narodowej autonomii. To Stalin wyobrażał sobie, że jest zagrożony przez nich, ale nie była to prawda. Narodowi komuniści byli przestraszeni kontrolą sowieckiej policji politycznej i pragnęli autonomii od jej działania, nie znaczy to wcale. aby naprawdę wyznawali zasady jakiegoś nacjonalistycznego odchylenia. W tym też sensie wszystkie opowiadania na ich temat są mniej lub więcej legendą.

Co zaś do wycofania sowieckich doradców i specjalistów, i to wydaje się legendą. Głównym polem kontroli sowieckiej jest wojsko i dlatego bez wycofania marsz. Rokossowskiego na odpowiednie stanowisko w Sowietach wszelkie doniesienia o wycofaniu specjalistów wyglądają jak bajka. To co się stało w Polsce, nie stało się także i gdzie indziej. W Rumunii po staremu rządzi Bondaras, w innych krajach podbitych także oficerowie sowieccy.

Rozluźnienie jest więc zmyślone. Nie ma go w dziedzinie gospodarczej, nie ma i w polityce. Bierut jest dalej w Warszawie, Novotny w Pradze, Rakosi w Budapeszcie, Dej w Bukareszcie i Czerwenkow w Sofii.

URAWNIŁOWKA

Jednym z interesujących zjawisk ostatniego czasu jest koniec dwoistości organizacyjnej w reżimowej akcji na katolików. Do zeszłego roku niezależnie niemal od siebie działali „księża-patrioci", tj. Komisja Księży przy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację i „katolicy społecznie postępowi", tj. Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Frontu Narodowego. Między tymi dwiema grupami, z których „katolicy postępowi" mieli znacznie wyższy poziom umysłowy i większe ambicje, trwały tarcia. Ostatni zjazd „księży patriotów" stał się końcem ich samodzielnej działalności. Obecnie w „Kuźnicy Kapłańskiej", organie „księży-patriotów" pisują „katolicy postępowi". Połączenie nie nastąpiło dobrowolnie i z przebiegu zjazdu widać niezadowolenie „księży-patriotów". Widocznie komuniści uznali, że poziom tej grupy jest kompromitujący i że należy poddać ją kurateli poważniejszego zespołu. Dowodzi to zapewne także wzrastającego zaufania komunistów do „postępowych katolików".

GOSPODARKA BEZ ODPOWIEDZIALNOŚCI

Reżimowe gazety w kraju pełne są niekończących się utyskiwań na braki i niedokładności. Nie ma tygodnia, żeby nie pisano o braku żarówek w Warszawie czy garnków emaliowanych w Bydgoszczy, czy zwykych gwoździ w Kielcach. Jeśli zaś są radioaparaty, to część z nich przestaje grać po krótkim czasie, jeśli są wieczne pióra nie wszystkie piszą, a jeśli są swetry część z nich ma za krótkie rękawy. W pewnych wypadkach chodzi o zjawiska drobnego zakresu, w innych o sprawy szerokie dotyczące wielkiej części ludności. W wiadomościach tych zawiera się charakterystyka metod działalności gospodarczej komunistów, która dostarcza poważnych argumentów do potępienia znacznej części ich systemu.

Istotą rzeczy bowiem jest fakt, że gospodarstwo komunistyczne jest systemem, w którym nie istnieje odpowiedzialność w dół, a tylko odpowiedzialność w górę. Dlatego brak towarów oraz produkcja towarów pośledniego gatunku są zjawiskiem normalnym.

We wszystkich znanych dotąd systemach gospodarczych kupiec i producent byli odpowiedzialni przed klientem i ponosili surową karę za lekceważenie jego wymagań. Karą normalnie było bankructwo.

System kontroli był bardzo prosty. Sam fakt istnienia wielu konkurencyjnych przedsiębiorstw lub zgrupowań przedsiębiorstw wystarczał. Jeśli nie było dobrych towarów u iksa, ygrek pojawiał się na widowni. Iks we własnym interesie musiał dbać o pozyskanie kientów.

Nie ma niczego podobnego w systemie komunistycznym. Wszelka konkurencja obliczona na zysk jest wyklęta i wobec tego nie istnieje. W tych warunkach i klient staje się niezbyt potrzebny, jego istnienie jest w praktyce kłopotem. Kontrola zaś jest sprawowana z góry przez państwo, które nie może nastarczyć kontrolerów do badania każdego szczegółu. Wystarczy, że plany ilościowe produkcji oraz finansowe rozliczenia są w porządku.

Kierownicy gospodarstwa sowieckiego, najstarszego wśród komunistycznych, od dawna poszukują rozwiązania tej kwestii, ale nigdy jeszcze nie próbowali poszukać środków nieortodoksyjnych. Najpopularniejsze jest organizowanie komisji kontroli z przedstawicieli związków zawodowych, którym daje się uprawnienia przeglądania transportów gotowych produktów w fabrykach czy składach hurtowych lub detalicznych w celu wykrycia winnych zasypywania rynku złymi towarami. Dotąd jednak nic nie pomogło i w okresie piątej już piatiletki sowieckie sklepy ciągle są pełne dóbr nienadających się do użycia. Ponieważ reżimy komunistyczne w krajach podbitych naśladują sowiecki system, nic dziwnego, że skutki ich działalności są identyczne.

Kierownicy przedsiębiorstw robią wszystko, aby wykonać plany przy jak najmniejszym wysiłku. Gotowi są wszystko ukryć, każdego przekupić, byle im nie przeszkadzano w wykonaniu tego co uważają za najważniejsze i co im przynosi prawdziwe zyski.

Dopóki imaginacja kierownika produkcji i sprzedaży nie zacznie oczekiwać zysku w drodze zaspokojenia klientów, sytuacja się nie zmieni. Wymagałoby to jednak gruntownej reformy nie produkcji ani sprzedaży, ale systemu komunistycznego.

WSPÓŁPRACA ATOMOWA

Żądanie kontroli produkcji atomowej było przez kilka lat narzędziem silnego nacisku amerykańskiego na Sowiety. Demaskowało ono złą wolę komunistycznego mocarstwa i jednocześnie wskazywało możliwą drogę zabezpieczenia pokoju na świecie. Od chwili, gdy Eisenhower zaproponował by przed powszechną kontrolą atomową rozpocząć współpracę światową nad pokojowym wykorzystaniem tego nowego gatunku energii, można było przewidzieć, że sytuacja się zmieni.

Propozycja bowiem amerykańskiego prezydenta nie przedstawiała już żadnych niebezpieczeństw politycznych dla kraju czerwonej dyktatury. Toteż po rozważeniu wszystkich możliwości, po zbadaniu czy nie kryje ona jakichkolwiek innych niepożądanych możliwości, władcy Kremla postanowili ją przyjąć w całości, a ostatnio nawet zaproponowali, że udostępnią światu plany swej elektrowni atomowej.

W ten sposób wielki problem uniemożliwienia zbrojeń atomowych został sprowadzony do nonsensu. Liczba państw pracujących nad pokojowym wykorzystaniem rozbicia atomu rośnie z każdym miesiącem i jest ich już teraz około dziesięciu. Teoretycznie zagadnienie nie przedstawia tajemnic, niemal każdy uczony fizyk dziś je zna i Sowiety nie składają żadnej ofiary występując z propozycją ujawnienia planów elektrowni. Przecież Stany Zjednoczone już posiadają łódź podwodną o napędzie atomowym, bu-

duje się lokomotywę atomową, przygotowuje się elektrownię o wiele większą od sowieckiej i to nie tylko w Ameryce ale i w Wielkiej Brytanii. Inne kraje mogą się wkrótce przyłączyć i nie będzie nic dziwnego, gdyby się okazało, że plany takiej elektrowni zostały lepiej opracowane w Niemczech, Francji czy Japonii.

Wobec tego gest sowiecki wysłania atomowca, prof. Skobielcyna, w świat z planami tajnej elektrowni jest tylko tanim gestem, który nic nikomu nie daje. Uznanie tego gestu za fakt polityczny byłoby dowodem dużej naiwności, jest on przecież jedynie faktem propagandowym.

TAKTYKA KOEGZYSTENCJI

Coraz więcej znaków na niebie i ziemi wskazuje, że po obu stronach kurtyny mniej się myśli czy koegzystować, o wiele natomiast więcej jak to robić.

Dla Sowietów bowiem koegzystencja oznacza okres wewnętrznego umocnienia się i zewnętrznej walki politycznej. Na Zachodzie zaś nikt dotąd nie określił ostatecznie o co chodzi. Nie można bowiem poważnie brać naiwnych, którym wydaje się, że następuje okres błogosławionego pokoju i radosnej współpracy z Rosją.

Ludzie odpowiedzialni w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach mówią dziś coraz głośniej, że koegzystencja w pewnym sensie równa się walce z „subwersją", czyli infiltracją polityczną komunizmu oraz rywalizacją polityczną i gospodarczą obu systemów. Są to jednak pierwsze głosy, jeszcze niczego nie ustalające, podobnie jak mowa Eisenhowera na początku roku wskazywała tylko pożądane kierunki polityki, ale nie mogła ich oczywiście uczynić rzeczywistością.

Sowiety taktykę koegzystencji mają gotową. W ich wydaniu jest to po prostu wojna polityczna przy wszystkich pozorach pokoju. Dobrej ilustracji dostarczają dwa wydarzenia.

Komunistyczne Chiny bezprawnie skazały grupę amerykańskich lotników za rzekome szpiegostwo. Gdy sekretarz Organizacji Narodów Zjednoczonych Hammarskjoeld pojechał do Pekinu, by domagać się wypuszczenia lotników jako żołnierzy wojsk ekspedycyjnych ONZ w Korei, rząd komunistyczny dał mu do zrozumienia, że lotnicy mogą być wypuszczeni w ciągu pół roku „jeśli Stany Zjednoczone nie doprowadzą do dalszych napięć w stosunku do Chin". Formuła jest bardzo szeroka i niejasna. Jeżeli Stany Zjednoczone zechcą przyłożyć większą wagę do wypuszczenia lotników, polityka ich przez kilka miesięcy będzie poważnie ograniczona i będzie musiała się liczyć niemal z każdym widzimi się Czou En-laja.

Przykład drugi dotyczy Niemiec. Jak wiadomo, w czasie konferencji berlińskiej Sowiety nie chciały się zgodzić na wolne wybory w całych Niemczech, szczególnie odrzucając myśl o kontroli międzynarodowej takich wyborów. Dziś, w czasie starań o ratyfikację umów paryskich i grożącej perspektywy uzbrojenia Republiki Federalnej, Sowiety same wystąpiły z propozycją wolnych wyborów pod kontrolą międzynarodową. Propozycja ta, połączona z obietnicą uznania rządu Adenauera, jest oczywiście posunięciem taktycznym. Ma ona skazać twórców NATO i porozumień paryskich na długie tłumaczenie wahającym się, iż sowieckie obietnice są syrenim śpiewem. Nie będzie to ani łatwe, ani proste, gdyż sowiecka nota robi wrażenie poważnego ustępstwa, choć jest tak niesprecyzowana, że w rzeczywistości nie wiadomo na czym to ustępstwo mogłoby w praktyce polegać.

Na tych dwóch przykładach widać, co jest charakterystyczne dla sowieckiej polityki okresu koegzystencji: nie przegrać nic oraz wiązać przeciwnika, zmuszając go do szukania sposobów sparowania politycznego ciosu i nie dając mu przez to czasu na przejęcie inicjatywy.

Jeżeli mocarstwa zachodnie pragną zachować silne pozycje i otworzyć sobie drogę do zdobycia nowych jeszcze mocniejszych, nie będą mogły pozwolić sobie na postawę odpowiedzi i odpierania ciosów, gdyż jest ona beznadziejna. Muszą wypracować nową taktykę polityczną, w przeciwnym bowiem wypadku koegzystencja byłaby przegraną, a nie przygotowaniem do innej fazy.

W AMERYCE ŚRODKOWEJ

Ostatni spór między Nikaraguą a Kostaricą, w przeciwieństwie do zeszłorocznych wydarzeń w Gwatemali, nie ma nic wspólnego z komunizmem. Prasa światowa ześrodkowała swoje zainteresowania w związku z wypadkami w Kostarice na polityce Stanów Zjednoczonych w Ameryce Środkowej. Wydaje się wszakże, że i ta polityka w rzeczywistości nie odgrywa w sporze większej roli, że mamy tu do czynienia z wrogością dwóch prezydentów i walką w gruncie rzeczy wewnętrzną. Trudno te wypadki nazywać międzynarodowymi, bo nie łatwo mówić o narodzie kostarikańskim czy nikaraguańskim.

O powstaniu państw amerykańskich na gruzach imperium kolonialnego hiszpańskiego decydowały nie różnice narodowościowe, lecz trudności komunikacyjne. Hiszpania utrzymywała jedność swych kolonii amerykańskich komunikacjami morskimi, a gdy jej flota została zniszczona przez Anglików w okresie napoleońskim, przestała nad nimi panować. Kolonie własnych flot nie miały, komunikacje zaś lądowe są w Ameryce łacińskiej nadzwyczaj trudne. Ich brak przesądził o podziale kontynentu na dziesiątki mniejszych i większych państw. Duże państwa Południowej Ameryki różnią się już dziś charakterem, tradycją, nawet składem ludności. Małe państewka Środkowej Ameryki są do siebie podobne. Ludność w prawie wszystkich składa się z czterech grup żyjących odrębnym życiem: z nielicznych dzikich Indian w dżungli, cywilizowanych Indian żyjących niezmiernie prymitywnie i konserwatywnie po wioskach, dotąd nie całkiem chrześcijańskich, z metysów (Ladinos) drobnych rolników i robotników i z Kreoli, tj. potomków Hiszpan, mieszkających po nielicznych, ale stosunkowo dużych miastach i stanowiących warstwę rządzącą. Kreole i Ladynowie kostarikańscy nie różnią się od nikaraguańskich czy gwatemalskich ani kulturą, ani językiem, ani sposobem życia.

W tych warunkach trudno rozróżnić, co jest wojną domową, a co wojną sąsiedzką, co współzawodnictwem państw, a co współzawodnictwem ludzi. Dla tego właśnie braku jedności narodowej w państwach i odrębności narodowej między państwami Środkowej Ameryki jest ona terenem podatnym na wszelkiego rodzaju wstrząsy, niepokoje i niespodzianki. Dziś gdy, głównie dzięki samolotowi, trudności komunikacyjne przestały grać dawną rolę, podział państwowy przy braku podziału narodowego stał się w tym zakątku globu czymś dziwacznym. Niebezpieczeństwo atrakcyjności komunizmu może być duże tam, gdzie podział społeczny jest bardzo ostry, granice państwowe krępujące, więź narodowa słaba. Ameryka Środkowa potrzebuje nie tyle interwencji Stanów, ile inicjatywy politycznej na dużą skalę.

STEFAN SZYMAŃSKI

SKRADZIONE TAJEMNICE I SKRADZIONE 4 LATA

KSIĄŻKĘ „The Hydrogen Bomb" czyta się jak sensacyjną powieść*). Dowiadujemy się z niej, jak mało brakowało, żeby w okresie powojennego siedmiolecia 1945-52 r. Stany Zjednoczone nie utraciły przewagi w wyścigu zbrojeń atomowych. Centralnymi figurami książki są: stosunkowo mało znany fizyk atomowy Edward Teller, który walczy o zrobienie bomby wodorowej wcześniej od Rosji, oraz powszechnie znany i posiadający ogromne wpływy fizyk dr J. Robert Oppenheimer, którego niektórzy nazywali niezbyt słusznie ojcem bomby atomowej. Ten ostatni prowadzi nieubłaganą i konsekwentną walkę przeciw bombie.

ZMARNOWANY CZAS

Projekt bomby wodorowej, według autorów, został wysunięty przez Tellera przy współpracy Oppenheimera jeszcze w lipcu 1945 r., zaraz po wybuchu próbnym pierwszej bomby atomowej. Jednak po zakończeniu wojny, już w sierpniu 1945 r., Oppenheimer zaczął okazywać niechęć do projektu bomby wodorowej. Niemniej jednak staraniem Tellera i prof. E. Fermiego (który może najbardziej zasłużył na tytuł ojca bomby atomowej) w laboratorium, a raczej ogromnych zakładach atomowych Los Alamos odbywa się w kwietniu—czerwcu 1946 r. rodzaj seminarium poświęconego bombie wodorowej. Bierze w nim udział około 30 wybitnych fizyków amerykańskich, bierze w nim również udział słynny zdrajca dr Klaus Fuchs. Wynikiem tej konferencji jest szereg raportów. Jeden z tych raportów stwierdza, że bomba wodorowa „Super Bomb" może być wyprodukowana w ciągu najbliższych dwóch lat (czyli około 1948 r.). Raporty te wysłane do A. E. C. (Atomic Energy Commission) giną w jej aktach i zostają zapomniane. Żaden z nich nie dochodzi do prez. Trumana. Lata 1945-49 nie przynoszą prawie nic w dziedzinie rozbudowy broni atomowej w Stanach Zjednoczonych.

Uczeni opuszczają laboratoria związane z produkcją wojskową, czynniki oficjalne są pełne optymizmu i niezachwianej wiary w długoletni monopol broni atomowych. Taki znawca jak gen. Leslie R. Groves (b. szef Manhattan Engineer District, który doprowadził do wyprodukowania bomby atomowej) był w 1945 r. zdania, że Sowiety potrzebują 15-20 lat na zbudowanie bomby atomowej. Zdanie to podzielał uczony i organizator tej miary co dr Vannevar Bush, dyrektor urzędu badań w czasie wojny. Marynarka przepowiada sowiecką bombę atomową na 1965 r., wojsko na 1960, najbardziej pesymistyczne lotnictwo na 1952. Postęp zbrojeń atomowych jest więc praktycznie zatrzymany. Specjalna komisja Kongresu pod przewodnictwem sen. Hickenloopera oskarżyła w 1949 r. pierwszego przewodniczącego A. E. C. Davida Lilienthala o „nieprawdopodobnie złe kierownictwo" („incredible mismanagement"). Lilienthal podał się do dymisji w lutym 1950 r. Zapas bomb atomowych w Stanach Zjednoczonych, jak to stwierdziła komisja Kongresu, był w 1947 r. przerażająco mały. Dyplomaci tymczasem radzili nad projektem międzynarodowej kontroli atomowej (projekt Barucha), o którym każdy trzeźwy i znający Sowiety człowiek wiedział, że z góry jest skazany na niepowodzenie.

Oppenheimer, przewodniczący Komitetu Doradczego (G. A. C.), hamował wszelkie próby prac nad bombą wodorową, używając i nadużywając swoich ogromnych wpływów i autorytetu. Ta sielanka trwa do sierpnia 1949 r.

Ale zanim przedstawimy skutki dramatycznego faktu, który tę sielankę zamącił, warto rozpatrzyć, co autorzy uważają za główną przyczynę opozycji uczonych wobec dalszego rozwoju broni atomowej. Nawet pomijając osobę Oppenheimera, niezbyt zakamuflowanego komunisty — w swym pisemnym raporcie nazwał go William L. Borden, długoletni sekretarz sen. B. Mc Mahona i człowiek, który dużo przyczynił się do ruszenia produkcji bomby wodorowej, „agentem sowieckim" — ciekawe są motywy kierujące uczonymi w ich opozycji przeciw bombie wodorowej.

Autorzy książki twierdzą, że głównym motywem było uczucie winy; „fizycy zaznali grzechu" i chcą wycofać się na drogę cnoty. Dopóki żył Hitler uczeni, a szczególnie uciekinierzy z Europy poświęcali swe wysiłki, by tę tyranię obalić. Koniec wojny, zniszczenie dwóch miast japońskich przeraziło ich sumienie. Wszak ich dziełem są te okropne skutki bomby. Podobno Oppenheimer płakał w Białym Domu w obecności Trumana z powodu „krwi na naszych rękach". Że te motywy grały ogromną rolę świadczy nie tylko omawiana książka. Wystarczy przejrzeć „Bulletin of the Atomic Scientists" z 1950 r. Nie podobna tu powstrzymać się od wyrażenia zdziwienia i żalu, że ci wrażliwi moralnie ludzie byli często sympatykami systemu komunistycznego, który jeśli nie okrucieństwem, to zasięgiem o wiele przewyższa tyranię Hitlera.

Jeśli chodzi o dwie główne „dramatis personae", Oppenheimera i Tellera, to autorzy uważają ich za szczególny produkt tej naukowo-przemysłowej rewolucji przeżywanej obecnie i do której ludzie nie mogą jeszcze przystosować swych moralnych i społecznych poglądów i wierzeń. Obaj uczeni pochodzą z górnej warstwy klasy średniej, obaj są Żydami wychowanymi w tej samej wierze, obaj są ludźmi o silnym poczuciu moralnym jeśli już nie religijnym, obaj wyrośli w atmosferze pewności jutra. Oppenheimer urodził się w Ameryce, prześladowania Żydów przez Niemców obudziły w nim nienawiść do systemu hitlerowskiego. Jego sympatie prokomunistyczne nie ulegają wątpliwości, dawał on pieniądze i swe nazwisko dla sprawy komunizmu, miał krewnych i przyjaciół komunistów. Jego nienawiść do hitlerowskich Niemiec skłoniła go do pracy nad bombą atomową. Teller urodził się na Węgrzech, uciekł do Ameryki w obawie przed prześladowaniem przez reżim hitlerowski. Ale ten bezpośredni powód nienawiści do hitleryzmu nie zasłonił mu ponurego obrazu Rosji, tradycyjnego wroga Węgier, nie skłonił go do zamknięcia oczu na okrucieństwa komunistyczne. Był i pozostał przekonanym i bezkompromisowym wrogiem komunizmu.

„JÓZIO PIERWSZY"

Ale przejdźmy do wypadków. W sierpniu 1949 r. samolot wojskowy amerykański startuje z jednej z baz dalekowschodnich dla dokonania prób badania promieni kosmicznych. Po powrocie z lotu stwierdzono bardzo silne wyświetlenie błon fotograficznych.

Tę wiadomość przekazano niezwłocznie specjalnej jednostce lotniczej ba-

*) „The Hydrogen Bomb", James R. Shepley and Clay Blair Jr. Nowy Jork 1954. David McKay Co.

dającej radioaktywność powietrza. Wysłany bombowiec B 29 wraca z próbkami powietrza. Wynik wydaje się nie ulegać wątpliwości. Sowiety odbyły próbę bomby atomowej z ładunkiem plutonium, moc bomby sześć razy większa od pierwszych bomb atomowych zrzuconych na Japonię.

Wypadek ochrzczono mianem „Joe One" (Józio pierwszy). Wiadomość wędruje do Waszyngtonu i zakłóca spokój polityczno-wojskowy.

Podsekretarz obrony narodowej Webster referuje sprawę sekretarzowi Johnsonowi. Zgodnie z poleceniem Trumana robienia oszczędności, Johnson właśnie jest zajęty „wycinaniem tłuszczu z muskułów" sił zbrojnych, czyli poważną redukcją budżetu obrony. Johnson nie chce wierzyć. Zła wiadomość psuje mu szyki, wszak jest jeszcze 5 procent niepewności czy wypadek jest rzeczywiście spowodowany sowiecką bombą atomową. Niestety, źródła brytyjskie potwierdzają opinię ekspertów amerykańskich. Wątpliwości nie ma: Sowiety posiadają bombę.

Podstawy oficjalnego optymizmu leżą w gruzach. Sowiety idą naprzód w ogromnym tempie. Wiadomość zostaje zreferowana we wrześniu 1949 r. Trumanowi i jest rozpatrywana na szczeblu najwyższym, National Security Council.

Pierwszy wśród grobowej ciszy odzywa się Truman: „Dokąd my zdążamy?". Sekretarz stanu Acheson stwierdza, że program oszczędnościowy Johnsona jest nierealny i trzeba się zbroić. Powstaje pytanie czy ogłosić złą nowinę. Truman decyduje, że ogłosić trzeba. Ludność Stanów Zjednoczonych przyjmuje nowinę spokojnie. Jeden z członków A. E. C. Lewis Strauss (republikanin, obecny przewodniczący A. E. C.) przypomina sobie o projekcie bomby wodorowej z 1946 r. i wystosowuje 5. 10. 1949 r. memorandum o konieczności szybkiego rozwoju broni atomowej. Żąda zwołania Komitetu Doradczego (G. A. C.). Memorandum zostaje wręczone przewodniczącemu A. E. C. Lilienthalowi i pozostałym członkom komisji. Lilienthala raport nie wzrusza. Na sowiecką bombę atomową odpowiedzieć trzeba, jego zdaniem, rozwojem pokojowych zastosowań energii atomowej i pielęgnowaniem wiary w demokrację.

Strauss nie kapituluje i posyła odpis memorandum przewodniczącemu komisji atomowej Kongresu sen. Mc Mahonowi. Lilienthal wysuwa w odpowiedzi ogromne trudności teoretyczne i techniczne, jakoby czyniące projekt realizacji bomby wodorowej projektem długofalowym. Entuzjasta bomby wodorowej Teller też rozwija silną akcję, poparty przez fizyków E. O. Lawrence'a i Alvareza. Docierają oni do naukowego doradcy sekretarza obrony narodowej Roberta Le Barona, do sen. Mc Mahona i jego sekretarza Bordena, do sen. Hinshawa. Staraniem Straussa, popieranego przez Mc Mahona, A. E. C. zostaje wreszcie przyparta do muru. 29. 10. 1949 r. zbiera się Komitet Doradczy (G. A. C.) pod przewodnictwem Oppenheimera. Sesja trwa cały dzień. Przewodniczący szefów sztabów, gen. Omar Bradley słabo orientuje się o jak wielkie zagadnienie chodzi. Broni sprawy, ale brak mu argumentów.

Wniosek G. A. C.: nie prowadzić prac nad bombą wodorową. Dwóch na ośmiu członków komitetu (Fermi i Rabi) sądzi, że trzeba zrobić jeszcze jedną próbę dogadania się z Rosją. Jeśli ta próba zawiedzie, to bombę robić. Opinia G. A. C. jest ciężką porażką dla zwolenników bomby, ale Strauss nie daje za wygraną. Idzie on do sekretarza obrony Johnsona. Po naradach w gronie wojskowo-cywilnym Johnson skłania się do zdania, że Sowiety pracują już nad bombą wodorową i Stany Zjednoczone nie powinny się dać im wyprzedzić. Sprawę poznaje Truman, który poleca członkom A. E. C. wypowiedzieć się na piśmie. Zdania są podzielone: trzech przeciw, dwóch za (9. 11. 1949 r.). Truman poleca specjalnemu podkomitetowi trzech (Acheson, Johnson, Lilienthal) rozpatrzyć sprawę jeszcze raz. Interweniuje bezpośrednio u Trumana sen. Mc Mahon, wysyłając memoriał złożony z 5.000 słów.

OPPENHEIMER I LILIENTHAL

Sprawa nie rusza. Ale 27. 1. 1950 r. wychodzi na jaw zdrada dr Fuchsa, który cenne i tajne dane przekazał Sowietom. Na zapytanie Trumana G. A. C. potwierdza ważność zdradzonych tajemnic.

Na wielkiej naradzie u Trumana specjalny podkomitet trzech wypowiada się za bombą wodorową 2:1 (Acheson i Johnson za, Lilienthal przeciw). Prezydent wydaje A. E. C. polecenie, ogłoszone publicznie 1. 2. 1950 r.: „kontynuować pracę nad wszelkimi rodzajami broni atomowej, włącznie z pracą nad bombą wodorową, czyli tzw. Super Bomb". Słowo kontynuować zostaje użyte naumyślnie, dla zatuszowania zaniedbań.

Entuzjastyczne nadzieje Tellera, który po ogłoszeniu decyzji leci do zakładów atomowych Los Alamos, doznają jednak przykrego zawodu. Dyrektor Los Alamos dr Norris Bradbury jest nastawiony do projektu bomby wodorowej niechętnie. Trudności teoretyczne i techniczne są olbrzymie. Tymczasem przeciwnicy bomby organizują wielką publiczną kampanię przeciw projektowi. Fizycy tej miary co Einstein, Rabi, Bacher, Conant, Szilard i inni są po stronie Oppenheimera. Rekrutacja uczonych dla prac nad nowym projektem idzie opornie, wpływ wielkich fizyków na opinię młodszych i mniejszych jest duży. Dochodzi do tego, że A. E. C. wydaje zarządzenie zakazujące dyskusji nad projektem.

Sprawę bomby pcha naprzód wybuch wojny w Korei. Pomimo rozkazów z góry cichy opór przeciw bombie trwa w Los Alamos. Autorzy książki niemniej przeto przyznają, że w 1950 r. Los Alamos dokonało wielkiego postępu w dziedzinie lepszego wykorzystania konwencjonalnej bomby atomowej. Ulepszenia techniczne pozwalają na użycie znacznie mniejszej masy uranu czy plutonu przy zachowaniu wielkiej potęgi wybuchu. Dzięki tym ulepszeniom wartość wojskowa zapasu materiałów atomowych wzrasta bardzo znacznie. Próby nowych broni atomowych w styczniu 1951 r. przewyższyły wszelkie oczekiwania. Latem 1950 r., po wybuchu wojny w Korei, nowy program zbrojeniowy nakazuje przyspieszenie prac nad bombą wodorową. W Los Alamos zapada decyzja dokonania pierwszej próby reakcji fuzji wodoru. Nie jest to jeszcze bomba, jeno mechanizm doświadczalny. Los Alamos robi potrzebne urządzenia, na kierownika operacji zostaje wyznaczony młody i pełen entuzjazmu dla sprawy gen. E. R. Quesada. Próba zostaje ochrzczona kryptonimem „Operation Greenhouse" (Oranżeria). Miejsce Wyspy Marshalla na Pacyfiku. I tu Oppenheimer nie rezygnuje. Wiedząc o ogromnych trudnościach tej próby i licząc na jej niepowodzenie działa on stale za kulisami. Działalność ta zaczyna niepokoić czynniki wojskowe. Gen. R. C. Wilson, doradca komitetu wojskowego skarży się szefowi wywiadu lotnictwa na Oppenheimera.

Pierwsza próba fuzji wodoru odbywa się w maju 1951 r. Sukces przekracza oczekiwania. Gen. Quesada popiera Tellera gdzie może i w czasie próby Teller wysuwa się na pierwsze miej-

sce pomimo protestów dyrektora Los Alamos, Bradbury'ego.

Ale powodzenie próby nie oczyszcza drogi do prawdziwej bomby. Sfery wojskowe przeważnie nie rozumieją ważności sprawy. Quesada na próżno usiłuje przekonać najwyższe czynniki wojskowe i, zniechęcony, wychodzi na emeryturę mając zaledwie 47 lat.

Teller ma nowe pomysły. Do tego potrzebne mu jest nowe laboratorium atomowe. W Los Alamos stosunki między nim i dyrektorem Bradbury'm stają się nie do zniesienia. Teller opuszcza Los Alamos. Walka o nowe laboratorium jest długa i trudna. Koszty są ogromne, opozycja potężna, przedsięwzięcie wymaga wiele czasu. Główny protektor projektów bomby sen. Mc Mahon jest śmiertelnie chory na raka. Wreszcie po długiej walce, w której bierze udział szereg wpływowych osób, powstaje w lipcu 1952 r. nowe laboratorium dla Tellera, w Livermore w Kalifornii, pod auspicjami uniwersytetu Kalifornii. Doświadczeni jednak i liczni pracownicy Los Alamos z ich potężnym aparatem wyprzedzają łatwo młodego konkurenta. 1. 11. 1952 r. na atolu Eniwetok na Pacyfiku odbywa się „Operation Ivy" (Bluszcz). Urządzenie zwane pieszczotliwie „Mike", które jest już prawie przenośną bombą wodorową, wybucha wyzwalając energię 150 razy większą, niż pierwsza bomba atomowa. Wysepka Elugelab znika, powstaje krater o średnicy przeszło mili i o głębokości 175 stóp.

OPERACJA „ZAMEK"

Dalsze dramatyczne wypadki idą szybko. 8. 8. 1953 r. Malenkow ogłasza, że Sowiety mają bombę wodorową. Bomba ta wybucha cztery dni później. Oświadczenie złożone przed próbą, świadczy o wielkiej pewności Malenkowa. Prezydent Eisenhower zwołuje Radę Obrony (N. S. C.). Wnioski narady są smętne: Sowiety nie mają na razie bomby zdatnej do użytku wojskowego i nie będą jej miały prawdopodobnie jeszcze w ciągu 1954 r.

Stany Zjednoczone mogą mieć bomby wodorowe nadające się do zrzucania na cel za siedem miesięcy. Operacja „Castle" (Zamek) odbywa się w marcu 1954 r. na atolu Eniwetok. Bomba wybucha wyzwalając energię 750 bomb atomowych typu Hiroszima. Wszyscy pamiętamy oddźwięki tego wypadku w prasie codziennej: poparzenie japońskich rybaków o 120 km od miejsca wybuchu, histerię pacyfistów, kapitulantów, pobożne wypowiedzi różnych niepoprawnych marzycieli.

W obawie przed skutkami zamierzone w kwietniu 1954 r. próby z bombą 2.400 razy silniejszą od pierwszej bomby atomowej, zostają w ostatniej chwili odwołane.

Tu właściwie kończy się epizod walki o bombę wodorową. Książka opisuje jeszcze, jak Oppenheimer i jego zwolennicy starali się zdyskredytować dowództwo lotnictwa strategicznego (Strategic Air Command) w imię niedrażnienia Rosji. Wreszcie pod naciskiem opinii wojskowych oraz niektórych polityków i nielicznych uczonych Oppenheimer przestał wchodzić w skład Komitetu Doradczego (G. A. C.). W dużym stopniu przyczynił się do tego Borden, sekretarz sen. Mc Mahona. Jednocześnie z Oppenheimerem odeszło jeszcze dwóch, popierających go członków. Pomimo możnej protekcji usunięto go na boczny tor.

Początek zrobił nowy (obecny) przewodniczący A. E. C. Strauss w lipcu 1953 r., utrudniając Oppenheimerowi korzystanie z tajnych dokumentów. Trzeba było jeszcze pół roku, żeby wreszcie dostęp do tajnych akt został Oppenheimerowi uniemożliwiony. Polecenie wydał sam Eisenhower.

Dramatycznie i ponuro brzmi zakończenie książki. W przyszłej wojnie mobilizacji nie będzie. W pierwszych kilku godzinach działań potencjał wojenny nawet tak dużych krajów jak Stany Zjednoczone i Rosja może być prawie całkowicie zniszczony. Pozostaje jedyna, jakże słaba pociecha: obawa odwetu ze strony napadniętego. Czynnik niepewności istnieje w przyszłej wojnie, jak i w poprzednich. Jeśli przeciwnik nie zostanie powalony całkowicie pierwszym ciosem, napastnik może doznać tego samego losu. Zdaniem autorów w 1954 r. każdej chwili istniała możność pobicia Rosji przez Stany Zjednoczone w ciągu 24 godzin. 1.000 bomb atomowych o energii 500.000 ton trotylu (pierwsze bomby atomowe 20.000) zrzucone przez tysiące samolotów nadlatujących na Rosję z obwodu o długości 17.000 mil wykończyłoby wojskowo nawet tak ogromny i potężny kraj. Za rok te 1.000 bomb może być zastąpione w większości bombami wodorowymi o sile 15 milionów ton trotylu.

Na przestrzeni najbliższych paru lat, może i wcześniej, taką samą możność zniszczenia Stanów Zjednoczonych będą miały Sowiety. Rola bombowca pilotowanego przez człowieka zbliża się szybko ku końcowi. Wchodzimy w erę pocisków kierowanych. Pod grozą zniszczenia Stany Zjednoczone nie mogą dać się wyprzedzić w tej dziedzinie. Przez siedem lat po wojnie uczeni atomowi uświadamiając sobie grozę położenia, starali się szukać jakiegoś duchowego, niemal mistycznego lekarstwa. Niestety, szukali czegoś co nie istnieje i w ten sposób omal całkowicie nie zburzyli obecnego stanu równowagi, jakże jednak niepewnej.

OBRONA LOS ALAMOS

Po ogłoszeniu wyciągów z tej książki w „U. S. News World Report" z 8. 10. 1954 r. ukazała się odpowiedź dyrektora Los Alamos dr Norris Bradbury'ego. Odpowiedź tę można ująć w następujących punktach:

1. Los Alamos nie przestawało pracować nad fuzją atomów lekkich od 1946 r. 2. Wszystkie urządzenia i ulepszenia prowadzące do bomby wodorowej zostały dokonane właśnie tam. 3. Ogromny postęp w dziedzinie klasycznej broni atomowej (rozpad pierwiastków ciężkich) spowodował nie tylko wielokrotne wzmocnienie potencjału wojskowego Stanów Zjednoczonych, ale także umożliwił zbudowanie samej bomby wodorowej. 4. Personel Los Alamos poświęcił się pracy bez reszty, oskarżenie go o brak lojalności przez osoby nie mogące znać wszystkich faktów jest krzywdzące i tragiczne. Za nas mówią fakty, nie słowa, twierdzi Bradbury. Na dowód swych twierdzeń cytuje on urywki z dwóch pism, z 9. 12. 1949 r. i 17. 11. 1950 r. wysłanych za jego podpisem. Wreszcie, na zakończenie, przytacza on pismo-orędzie (citation) Eisenhowera, w którym to piśmie prezydent dziękuje zakładom Los Alamos w imieniu narodu Stanów Zjednoczonych. Jest to pierwszy wypadek, by laboratorium było cytowane w orędziu prezydenta.

Z bardzo ostrym potępieniem książki wystąpił b. przewodniczący A. E. C. Gordon Dean, nazywając ją złośliwą. Zdaniem Deana książka nie tylko wyrządza moralną krzywdę personelowi Los Alamos i innym zasłużonym dla tej sprawy ludziom, ale stawia również w kłopotliwe położenie jej bohatera, Tellera. Za główną merytoryczną wadę książki Dean uważa to, że jej autorzy zasięgali rady tylko jednej z szesnastu wymienionych przez nich osób. Twierdzenie autorów, że mieli oni dostęp do oficjalnych dokumentów jest gołosłowne, bo żadna z osób mających dostęp do dokumentów

oficjalnych nie przyznaje się, żeby im takie dokumenty dawała do wglądu.

Obok krytyki Deana w „Bulletin of the Atomic Scientists", grudzień 1954 r., czytamy tam także list prof. Fermiego, który, chociaż potępia książkę nazywa jednak Tellera „bohaterem postępu bomby wodorowej" (the hero of the H-development). Na tejże stronie figuruje krótki list samego Tellera z 26. 9. 1954 r., który chwaląc osiągnięcia Los Alamos, wzywa wszystkich do dalszej harmonijnej pracy i nie odrywania się od niej przez nieważną dyskusję.

Kończąc trudno powiedzieć, która strona ma bardziej rację, bo obie rzucają wiele prawdziwego światła. Książka nie wydaje się całkiem obiektywna. Poświęca ona zbyt dużo miejsca na coś, co wygląda jak reklama dla Tellera, a częściowo i Straussa. Odkrywa ona ponury obraz wpływów wyraźnie komunistycznych lub też ludzi może i dalekich ideowo od komunizmu, lecz naiwnych, grozy czerwonej zarazy nie rozumiejących i to tam, gdzie chodzi o życie i śmierć narodów, może nawet całej cywilizacji europejskiej.

Z drugiej strony chociaż Los Alamos pod dyrekcją Bradbury'ego dokonało wielkiego dzieła, jednak oświadczenia Bradbury'ego nie wszędzie brzmią przekonywająco. Przyznaje to niechętny autorom i współczujący Oppenheimerowi recenzent tej książki w miesięczniku angielskim „Discovery" z grudnia 1954 r.

ALEKSANDER SIERZ

NARASTAJĄCE ZAGADNIENIE

(Artykuł dyskusyjny)

Po dziesięciu latach od zakończenia gorącej wojny wydaje się rzeczą słuszną podjęcie próby rekapitulacji naszego położenia na wychodźstwie. Nazwaliśmy się emigracją polityczną. W określeniu tym zawierało się w pierwszym rzędzie pojęcie gotowości natychmiastowego przejścia z życia codziennego do stanu mobilizacji, dalej pojęcie tymczasowości i przejściowości położenia, w jakim Polacy na wychodźstwie się znaleźli, a wreszcie kryła się w nim świadomość, ża każdy z nas może włożyć mniejszy czy większy, czynny udział w przywrócenie Polsce niepodległości. Określenie to miało jeszcze na celu, jakby zaznaczenie — co odpowiada naszemu romantycznemu charakterowi — że nie pozostaliśmy tu, by się dorabiać i budować własną przyszłość, ale by przetrwać lat kilka do chwili, gdy zmiana upragniona nastąpi. Czas jednak płynie, lat spadających na żołnierskie barki nie da się zatrzymać — życie ma swoje prawa, których samą chęcią i nawet najbardziej pompatycznymi słowami zmienić nie można.

Zacznijmy od najbardziej pobieżnego przeglądu sytuacji ogólnej, by na tym tle unaocznić sobie nasze własne położenie. Takie okazje, jak wyłączne posiadanie broni atomowej, śmierć Stalina minęły bezpowrotnie i nie zostały wykorzystane; do chwili urzeczywistnienia pomysłu sztucznego satelity w przestworzach międzyplanetarnych upłynie niewątpliwie wiele lat. Poza tym trzeba mieć świadomość, że w żadnym kraju po tej stronie żelaznej kurtyny, posiadającym dane ku temu aby się z nim liczono, nie panuje duch krucjaty czy chęć podjęcia ryzyka wojny wyzwoleńczej. Zresztą trudno się temu dziwić, trzeba by ludzi na miarę tytanów, charakteru, woli i odwagi na miarę historyczną, którzy by świadomi niebezpieczeństwa wiszącego potencjalnie nad światem wolnym poważyli się to niebezpieczeństwo usunąć, a nie tylko zażegnywać, naturalnie z wszystkimi konsekwencjami, jakie taka decyzja dla ich krajów przynieść by mogła. Należy wyrazić wątpliwość czy my byśmy zachowali się inaczej, czy gdyby nasi mężowie stanu z całą ich inteligencją i wiedzą polityczną byli Amerykaninami, Anglikami czy Francuzami i mieli podejmować decyzje w Waszyngtonie, Londynie czy Paryżu, robiliby coś innego. Czy chcemy, czy nie chcemy, musimy przyjąć fakt polityki koegzystencji. Niestety nic nie wskazuje na to, by w najbliższej przyszłości, jakieś zasadnicze zmiany miały nastąpić. Próby proroctw są zawsze zawodne, tym bardziej gdy się jest poza nawiasem zasadniczych decyzji politycznych. Pragnienia i najgłębsza wiara nie mogą z dnia na dzień odwrócić biegu wypadków.

W tym stanie rzeczy trzeba sobie jasno zdać sprawę, że z każdym upływającym rokiem zmienia się położenie nasze. Jeszcze kilka lat temu, gdyby nastąpiło wyzwolenie Polski 90 procent Polaków powróciłoby do kraju, dziś ten procent byłby na pewno mniejszy i będzie dalej malał w miarę upływu lat. Składa się na to nie odchodzenie od polskości, choć i takie wypadki istnieć muszą, ale nieubłagane prawo życia ludzkiego: zakładanie rodzin, zdobywanie pozycji — odnosi się to specjalnie do ludzi młodszych czy w średnim wieku. Ludzie ci ze stanu gotowości przechodzić muszą w stan normalnego bytowania, by zapewnić sobie i swojej rodzinie możliwie najlepsze warunki istnienia, ich plany na przyszłość wyszły poza okres siedzenia na walizkach i przypuszczać można, często nie uwzględniają powrotu do rodzinnego kraju. Nasuwa się pytanie czy mają trwać przy nieuznawanym obywatelstwie polskim, czy też przyjąć obywatelstwo kraju zamieszkania? Są kraje, gdzie po upływie określonej ustawą ilości lat obcokrajowiec musi przyjąć miejscowe obywatelstwo. Wydaje się sprawą bezsporną, że nikt nie może wymagać zatrzymywania obywatelstwa polskiego od Polaków żyjących w takim kraju, nie mogąc im zapewnić innego rozwiązania pozycji życiowej. Co daje pozostawanie przy obywatelstwie polskim w krajach, w których nie ma ustawowego przymusu zmiany? Niewątpliwie wielkie zadowolenie wewnętrzne, poczucie wierności ojczyźnie, są to wartości niewymierne i nie można ich położyć na szalę; na płaszczyźnie materialnej pozostawanie przy obywatelstwie własnym często niczemu nie przeszkadza, ale na pewno nie pomaga. Zmiana obywatelstwa w tym wypadku w odpowiednich okolicznościach może przynieść zdobycie większego powodzenia materialnego, większych możliwości wejścia w społeczeństwo danego kraju i oddziaływania na nie, a nawet przy pewnym układzie stosunków wpływanie na politykę państwową, kiedy kilkaset czy kilka tysięcy głosów w danym okręgu wyborczym może zadecydować o wyborze tego czy owego kandydata.

Zakładając więc, że będzie istniała zapewniona przez czynniki polityczne polskie możliwość powrotu do obywatelstwa polskiego w razie zmiany warunków politycznych (rodzaj podwójnego obywatelstwa), można by postawić tezę, iż zmiana obywatelstwa nie sprzeciwia się interesom narodu polskiego.

Lecz nie ma niczego za darmo. Zmiana obywatelstwa musi być pewnego rodzaju kontraktem pomiędzy zmieniającym obywatelstwo, a państwem, które go nie wydziedzicza, lecz tylko zwalnia z bezpośrednich zobowiązań. Można by to porównać częściowo z wstępowaniem w związki małżeńskie jednostki, przyjmuje ona na

siebie nowe obowiązki, ale nie zrywa więzów z rodziną, która go wychowała. Pierwsze dwa punkty kontraktu, to właśnie utrzymanie tradycji, więc w pierwszym rzędzie brzmienia nazwiska. Zmiana nazwiska jest zaprzaństwem i zacieraniem śladów. Niech się nikomu nie zdaje, że to właściwa droga do sukcesu i kariery. Jest rzeczą zrozumiałą, że cudzoziemiec jest niedopuszczany do kierowniczych stanowisk i tajnych prac badawczych, ale jest tylko złudzeniem, że osiągnięcie stanowiska ułatwi jeżeli ktoś zamiast Jan Popiołek nazwie się John Ash. Podawany często jako tłumaczenie powód, że cudzoziemcy nie mogą czy mają trudności z wymawianiem polskich nazwisk nie wytrzymuje krytyki. Może wymowa nie będzie poprawna, ale na pewno nie wpłynie na uznanie ewentualnych zasług danej jednostki. Nie przeszkodziło w zdobyciu sławy i pozycji w czasach wiktoriańskich słynnemu odkrywcy góry Kościuszki w Australii jakże trudne do wymówienia nazwisko Strzelecki. Ta niejako pieczęć narodowa musi pozostać niezmieniona, przez nia przy każdym osiągnięciu jednostki pewien odblask będzie padał na naród, który dał tej rodzinie początek.

Drugi punkt kontraktu związany z utrzymaniem tradycji, to wychowanie młodzieży. Nie ma żadnego powodu, by dzieci rodzin zmieniających obywatelstwo nie miały być wychowane w domu po polsku. Mówienie, czytanie i pisanie po polsku nic im w przyszłości nie zaszkodzi, natomiast przeciwnie pomoże, bo znajomość jednego więcej języka jest zawsze plusem, nigdy minusem. Poza tym najważniejsze w tej dziedzinie jest wdrożenie w młodzież głębokiej świadomości i dumy wywodzenia się z narodu o tysiącletniej tradycji, który przez swoich wielkich ludzi dokonał poważnego wkładu do cywilizacji świata. Ta świadomość i duma da im pewność siebie i poczucie, że nie są niczym gorszym od otaczających ich rówieśników. Da im to również coś, co można by określić jako rzecz najważniejszą w kontrakcie z punktu widzenia państwa polskiego: sentyment i ofiarność dla ojczyzny ojców.

Tu przechodzimy do sedna zagadnienia, do korzyści jakie polityka polska na Zachodzie, a potem wyzwolone państwo polskie może osiągnąć wskutek realnego podejścia w chwili obecnej do sprawy omawianej. Po raz pierwszy w historii tak się zdarzyło, że tysiące Polaków rozsianych zostało po całej kuli ziemskiej. We wszystkich krajach — godnych zanotowania ze względu czy to na obecną potęgę, czy na możliwości rozwoju w przyszłości — znajdują się grupy Polaków zajmujących już poważne stanowiska profesorów uniwersytetów, dyrektorów przedsiębiorstw, inżynierów, lekarzy itp., a oprócz tego stanowiska urzędników, majstrów i wykwalifikowanych robotników. W następnym pokoleniu przy powszechności oświaty i przy wrodzonych zdolnościach polskich proces ten będzie z pewnością postępował naprzód. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy państwo polskie winno skorzystać z tej sposobności i zatrzymać na całym świecie szczerze przyjazne grupy obywateli państw obcych polskiego pochodzenia?

Wydaje się, że odpowiedź powinna być pozytywna. Zadaniem zaś naszym, zadaniem wychodźstwa winno być stworzenie wszechświatowej organizacji polonijnej i to jest trzeci punkt kontraktu między jednostką i państwem — każda osoba pochodzenia polskiego musi być członkiem tej organizacji w kraju swego zamieszkania. Jeślibyśmy pod presją opinii do takiego ideału doprowadzili, z pewnością z punktu widzenia państwowego byłoby to poważne osiągnięcie. Zanikłyby walki o rzeczy nieistotne, bo pozostałyby jako jedyne cele: stwarzanie przychylnych dla Polski nastrojów, przeciwdziałanie wpływom Polsce wrogim oraz zbieranie funduszy teraz na prowadzenie niezależnej polityki polskiej przez grupę ludzi uzdolnieniami, doświadczeniem do tego powołanych, którzy nie przyjęliby obywatelstwa obcego, a w przyszłości na cele fundacyjne i pomocowe, których wachlarz mógłby być bardzo szeroki. Podniosą się naturalnie głosy, że nikt nie będzie się z taką grupą polityków liczył, bo nie będzie ona miała zaplecza masy ludzkiej, ale czyż to nie wszystko jedno posiadać zaplecze polskiego wychodźstwa czy wszechświatowej Polonii — zaplecze najważniejsze, bo wywywodzące się z rodzinnego kraju pozostanie niezmienione. O ileż więcej czasu będzie ta grupa mogła poświęcić i w o ileż spokojniejszej atmosferze będzie mogła pracować nad zasadniczymi problemami polityki bez tego przydługiego węża wychodźczego, który tyle energii zżera na walki wewnętrzne.

Zagadnienie poruszone wymaga wszechstronnego przedyskutowania, nie da się go bowiem załatwić patriotycznym sloganem lub rzuceniem klątwy na tych, którzy przyjmują obce obywatelstwo, takie podejście faktów nie zmieni. Trzeba życiu wyjść naprzeciw z rozumną koncepcją po dokładnym rozważeniu wszystkich czynników za i przeciw.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

PAMIĘTNIK KLĘSKI

Memoirs of Dr Eduard Benes. FROM MUNICH TO NEW WAR AND NEW VICTORY. Translated by Godfrey Lias. George Allen & Unwin Ltd. Londyn 1954. Stron 346.

Polityka polska stykała się z działalnością na arenie międzynarodowej Edwarda Benesza, najważniejszej po Tomaszu Masaryku osobistości politycznej czeskiej pierwszej połowy bieżącego stulecia, niejednokrotnie przeważnie jako z przeciwnikiem, rzadziej jako z partnerem. Zetknięcia te z nim, i w jednym i w drugim charakterze, przynosiły nam rezultaty ujemne. Polityka czeska, którą w dużej mierze kształtował, w swych celach i dążeniach pozostawała bowiem w niezgodzie dość zasadniczej z żywotnymi interesami polskimi. W czasie drugiej wojny światowej Benesz zdawał sobie z tego dobrze sprawę, toteż pomimo zgody na ścisłą współpracę z Polską, która przynajmniej w myśl wspólnych deklaracji miała rozwijać się w ramach konfederacji polsko-czechosłowackiej, zachowywał się w rokowaniach z nami bardzo ostrożnie i w drugiej fazie wojny, gdy zaczęły się sukcesy wojskowe sowieckie, a za nimi ujawniać się zaczęły dość wyraźnie zarysowane, przy tym agresywnie i ekspansywnie utrzymane dążenia polityczne Związku Sowieckiego, bez ostentacji, lecz definitywnie pogrzebał wszystkie mniej lub więcej samodzielne projekty współdziałania z Polską.

W pamiętnikach ogłoszonych po czesku w 1947 r., a teraz przełożonych na angielski, Benesz zasadniczo omawia rolę swoją w wydarzeniach politycznych po konferencji monachijskiej, mniej więcej do końca drugiej wojny światowej. Jednak daje on również krótki rzut oka na rozwój niektórych problemów politycznych w czasie poprzedzającym ów okres. Korzysta z tego, by dać upust rekryminacjom pod adresem Polski, z którą jakoby chciał bliższych związków politycznych, oczywiście na swoich warunkach.

Busola polityki międzynarodowej orientowała się wcześnie w kierunku Moskwy. Sam Benesz podjął podróż do Rosji i oparł stosunki z tym „wielkim bratem słowiańskim" na podstawie sojuszu w połowie lat trzydziestych. Jak stwierdza w pamiętnikach, chciał ten system polityczny uzupełnić porozumieniem z Polską. Rozmowy z Beckiem, nawiązane w 1932 r., nie doprowadziły jednak do niczego, co w pamiętnikach skwitowane zostało licznymi epitetami, jak „reakcyjna Polska", „reżim aspołeczny i antydemokratyczny", „system półfaszystowski,

popierany przez arystokrację i reakcję polską" itd. Krytykuje oczywiście ostro układ polsko-niemiecki ze stycznia 1934 r., który jakoby umożliwił Niemcom prowadzenie ich dalszej agresywnej polityki. Przyznaje jednak, że Polska gotowa była w 1936 r. na interwencję zbrojną przeciwko Niemcom z racji remilitaryzacji Nadrenii.

Akcenty antypolskie są dość częste w jego pamiętnikach, a nabierają one szczególnego wyrazu na tle jego nieustannych zabiegów o przyjaźń i dobrą wolę czynników sowieckich. Ledwo zaschł atrament na układach dokonujących czwartego rozbioru Polski, Benesz odbywał już w Londynie rozmowy z ambasadorem sowieckim Majskim, w których podkreślał konieczność istnienia wspólnej w przyszłości granicy sowiecko-czechosłowackiej — „bezpośredniej i trwałej". I już wówczas gotów był oddać Rosji Ruś Przykarpacką. Tezę o wspólnej granicy z Sowietami podtrzymał później w rozmowie z prezydentem Rooseveltem w maju 1943 r., zanim udał się do Moskwy.

Benesz odegrał znaczną rolę jako informator zachodnich mężów stanu o sprawach rosyjskich. Występował niejako w charakterze rzeczoznawcy, a orzeczenia jego były nader pozytywne i życzliwe dla Rosji. W ten sposób urabiał on korzystną opinię o wartości wojskowej i solidności politycznej reżimu sowieckiego. Nie ulega wątpliwości, że ze zdaniem jego liczono się poważnie i że torował on drogę tej dziwnie naiwnej i tak sprzecznej z doświadczeniem wiary w dobrą wolę, uczciwość i zasadniczą słuszność celów i dążeń polityki sowieckiej. Nic dziwnego, że w depeszach do swego rządu w Londynie Benesz pisał z Waszyngtonu: „Jeśli chodzi o Rosję, Prezydent (tj. Roosevelt) zajmuje stanowisko, iż jest rzeczą konieczną ufać Rosji, a również i nadal z nią współpracować lojalnie i jak najpełniej po wojnie".

Na ołtarzu tej nowej przyjaźni Roosevelt gotów był składać ofiary. W innej depeszy Benesz donosi swemu rządowi, że „Stany Zjednoczone nie są w stanie i nie zamierzają przeszkodzić ostatecznej aneksji państw bałtyckich przez Związek Sowiecki". Wtedy też (7 lipca 1943 r.), jeszcze przed konferencją w Teheranie, Roosevelt wypowiadał się na rzecz tzw. linii Curzona, „nieco zmodyfikowanej na korzyść Polski", jako przyszłej granicy polsko-sowieckiej. Przyznanie Polsce Prus Wschodnich miało oznaczać „słuszną i sprawiedliwą kompensatę, którą Polacy mogliby i powinni przyjąć".

Możemy się domyślać, że przy formowaniu tego stanowiska inspiracja Benesza miała niemały udział. Bo przecież stwierdza on, że wszystkie rokowania w czasie drugiej wojny światowej prowadził w taki sposób, by one pod żadnym względem nie prowadziły do powstania różnic ze Związkiem Sowieckim. Innymi słowy, tam gdzie istniał spór strony trzeciej ze Związkiem Sowieckiem, jak w wypadku Polski, polityka czeska opowiadała się bez zastrzeżeń po stronie sowieckiej.

Była to oczywista rezygnacja z samodzielności politycznej wobec sojusznika, którego grabieżczości i instynktów imperialistycznych Benesz przy całym swym realizmie nie doceniał. To Nowe Zwycięstwo, o którym pisze w tytule swych pamiętników, było więc dla jego ojczyzny i dla wszystkich innych państw Europy środkowo-wschodniej Nową Klęską, Nowym Ujarzmieniem.

(m. ost.)

„WOLNOŚĆ NIE MA CENY"

Philip Gibbs: NO PRICE FOR FREEDOM. Hutchinson. Londyn 1955. Stron 421. Cena 15/-.

Sir Philip Gibbs ma za sobą sześćdziesiąt lat pracy pisarskiej. Był jednym z najbardziej znanych reportażystów, napisał kilkadziesiąt powieści, przeważnie historycznych, jest wciąż jeszcze w pełni sił twórczych, choć dobiega już osiemdziesiątki. Tytuł otrzymał za swe zasługi pisarskie.

W pierwszych słowach przedmowy do swej nowej książki określa ją jako powieść historyczną. Jest to określenie ze wszech miar słuszne. Mimo że akcja powieści jest współczesna, dzieje się 15 do 10 lat temu, sposób ujęcia tematu i styl są niewątpliwie powieści historycznej. Obok wcale żywych i prawdziwych postaci fikcyjnych występują też osoby historyczne, cytowane są dokumenty. Główny wysiłek autora idzie na odtworzenie pod pewnym kątem całości wydarzenia historycznego, na ukazanie poprzez przeżycia jednostek kawałka historii. Jest to historia Polski z czasów drugiej wojny światowej. Głównym tłem akcji jest Warszawa od 1939 r. do jesieni 1944 r. Niektóre rozdziały dzieją się we Włoszech lub w Szkocji, ale utrzymana jest proporcja znaczenia historycznego tego co działo się poza krajem, do tego co działo się w Polsce. Głównym węzłem historycznym jest powstanie warszawskie.

Autor, który nie zna Polski z osobistej obserwacji, włożył wielki wysiłek i niemało zdumiewająco artystycznej wyobraźni w jej odtworzenie literackie. Zebrał olbrzymi materiał osobistych wspomnień i opowiadań Polaków, zbadał materiał dokumentarny. Opis ani akcja nie razi żadnym nieprawdopodobieństwem. Epopeja Polski walczącej wychodzi imponująco i plastycznie. Czytając, choć wiemy, że każdy szczegół opiera się na prawdziwej relacji, choć znamy wiele podobnych, dziwimy się, że to było aż tak niezwykłe... i że to już tak historyczne.

Powieść jest długa. Wprowadzenie (sceny przed wybuchem wojny), nieco podobne jak w „Gone with the Wind", jest trochę powolne, później tok opowieści staje się żywszy, by nabrać pełnego napięcia w scenach walk ulicznych. Postaci nie są papierowe. Najładniejsza może jest Haliny, bohaterskiej dziewczyny pełnej wdzięku, i jej angielskiego narzeczonego, Dicka. Ich dramatyczne poznanie, świeża miłość w konspiracji, ślub pod bombami w czasie powstania stanowią najjaśniejszy wątek powieściowy. W rolach epizodycznych występują ludzie autentyczni: Stefan Starzyński, Tadeusz Komorowski, Władysław Anders, ojciec Paweł.

Nie wiemy, jak przyjmie tę powieść publiczność angielska. W każdym razie zostanie ona jako trwała pozycja w historycznej powieści angielskiej.

„SZLAGIER"

Evelyn Waugh: DZIENNIKARZ Z PRZYPADKU („Scoop"). Przekład Teresy Skórzewskiej. Veritas. Londyn 1955. Stron 256. Cena 15/-.

Dlaczego z bogatej twórczości powieściowej katolickiego autora wybrano właśnie „Scoop" do tłumaczenia na polski, nie jest jasne. Powieść jest zabawna, ale związana z dawno minioną aktualnością polityczną przedwojenną, nie może równać się z egzotyczną również, ale znacznie lepszą powieścią tegoż autora „Handful of Dust" ani jedyną bezpośrednio wkraczającą w problematykę katolicką „Brideshead Revisited". Może zadecydował przypadek istnienia już gotowego tłumaczenia.

Waugh jest niezwykle trudny do przekładania. Pisze skrótami, używa gwary inteligenckiej lat trzydziestych. Z polskich autorów nieco podobnego stylu używa Karol Zbyszewski, z tą różnicą, że Zbyszewski jest niedbały, a Waugh w swoich uproszczeniach i kollokwializmach precyzyjny. P. Skórzewska z tego trudnego zadania wywiązała się nad podziw dobrze. Nie poszła na zbyt daleko idące polszczenie dialogu, zachowując jego angielską odrębność, uratowała natomiast prostotę stylu. Zrezygnowano z dosłownego tłumaczenia tytułu (odpowiednikiem angielskiego słowa „scoop" jest w polskiej gwarze dziennikarskiej „szlagier").

Strona graficzna książki wskazuje, że seria powieściowa Veritasu stale się doskonali.

Z NAUKI POLSKIEJ

Académie Internationale Libre des Sciences et des Lettres. BULLETIN. Décembre 1954. Paryż. Stron 44.

Międzynarodowa Wolna Akademia Nauki i Literatury jest najpoważniejszym i najszerszym z ciał grupujących intelektualistów z krajów zza żelaznej kurtyny. Kilkudziesięcioosobowa grupa polska liczy wśród swoich członków m.i. profesorów światowej sławy jak: W. Folkierski, O. Halecki, W. Lednicki, H. Paszkiewicz, S. Stroński, Z. L. Zaleski, A. Żółtowski. Jej sprawozdanie z działalności od r. 1952 przynosi streszczenie prac posiedzeń ogólnych, nekrologię (z Polaków znajdujemy wspomnienia pośmiertne śp. J. Kucharzewskiego, Z. Jundziłła i W. Komarnickiego) oraz streszczenia referatów wygłoszonych na zjazdach. Wśród nich pierwsze i najobszerniejsze miejsce zajmuje referat prof. W. Folkierskiego wygłoszony na sesji inauguracyjnej Akademii na temat „Europa i duch wolnościowy". Referent daje przegląd ciągłej myśli o wolności od Tucydydesa, poprzez Dantego, Cervantesa, Pascala do Krasińskiego, którego cytuje proroczy tekst o Rosji z listu do Delfiny Potockiej.

Ze sprawozdania dowiadujemy się o referatach innych autorów polskich: J. Wilczyńskiego o biologii w Polsce, Z. L. Zaleskiego o metodach studiów literackich w Polsce sowietyzowanej, C. Chowańca o kartografii historycznej Europy środkowo-wschodniej, P. Szumowskiego o tzw. oestrogenach syntetycznych w biologii.

BROSZURA STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO

Stanisław Olszewski: KRYZYS EMIGRACJI. Problem federacji środkowowschodniej Europy. Londyn 1955. Stron 39.

Broszura prezesa Stronnictwa Demokratycznego składa się z dwóch artykułów: jeden poświęcony jest tzw. kryzysowi emigracji i potrzebie jedności, drugi sprawie przyszłej federacji Europy środkowo-wschodniej. Na zakończenie podany jest rys historii S.D. (1937-1955) oraz uchwały: paryska z r. 1940 z wytycznymi działalności i londyńska z r. 1954 o przystąpieniu do Rady Jedności Narodowej.

SŁUSZNE PYTANIE

POLISH AMERICANS AND THE CURZON LINE. President Roosevelt's statement at Yalta. Edited by D. S. Wandycz. Józef Piłsudski Institute of America. Nowy Jork 1954. Stron 31.

Prezydent Roosevelt w czasie konferencji jałtańskiej oświadczył (co ujawnił Churchill w ostatnim tomie wspomnień), że ogromna większość Polaków amerykańskich jest za granicą na linii Curzona z Rosją. P. D. Wandycz wobec tego zestawia teksty kilkunastu dokumentów nie przedstawiających najmniejszych wątpliwości, nie tylko że cała Polonia amerykańska jednolicie i stanowczo zajmowała stanowisko za przywróceniem granicy ryskiej, ale że stanowisko jej było dobrze znane Rooseveltowi. Dlaczego zatem Roosevelt kłamał w Jałcie? Autor broszury stawia to pytanie, lecz stwierdza, że odpowiedź na nie przekracza rozmiary i cel jego broszury.

Dobrze, że choć po latach, rzecz została przygwożdżona.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

ZEBRANIA I ODCZYTY

W Keighley, Yorks, Koło Stronnictwa Narodowego urządziło 27 grudnia tradycyjny opłatek. Okolicznościowe przemówienie wygłosił kierownik Obszaru J. Dudziński.

W Londynie, w sali przy Kościele Polskim na Devonii Wydział Londyński SN urządził 14 stycznia tradycyjny doroczny opłatek. Życzenia licznie zebranym gościom i członkom złożył kierownik Koła Centralnego J. Rożdżyński, przemówienie o obecnej sytuacji politycznej wygłosił W. Wasiutyński. W opłatku wzięli udział ks. kan. N. Turulski i sekretarz generalny Polskiej Misji Katolickiej ks. K. Sołowiej.

W Birminghamie opłatek Koła SN odbył się 16 stycznia. Życzenia złożył zebranym kierownik Koła dr M. Szamocki, referat o położeniu politycznym wygłosił sekretarz Centralnego Wydziału Wykonawczego K. Harasimowicz z Londynu.

W Manchesterze opłatek Koła SN odbył się w Domu Kombatanta 23 stycznia. Życzenia złożył kierownik Koła K. Cekało, referat polityczny wygłosił p. Rodżdżyński z Londynu. Imieniem zebranych zabrał następnie głos M. Modelski.

W Readingu 16 stycznia odbyło się wspólne zebranie członków Koła SN i sympatyków. Przewodniczył zebraniu kierownik Koła F. Torba, referat polityczny wygłosił p. Rożdżyński.

★

W Keevilu i Trowbridge, Wilts, na zebraniach kół Polskiej Akcji Katolickiej W. Wasiutyński mówił ostatnio o działalności tzw. katolików reżimowych.

W Leicester 23 stycznia odbył się okręgowy zjazd działaczy kulturalno-oświatowych, zwołany przez Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii. W części referatowej zjazdu przedstawiono dorobek oraz cele pracy kulturalno-oświatowej na obczyźnie, następnie przeprowadzono obszerną dyskusję nad tezami referatów. Na zjazd przybył Z. Stypułkowski, kierownik działu spraw wewnętrznych Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego.

★

Członek francuskiego Wydziału Wykonawczego Stronnictwa Narodowego W. Owoc przemawiał w dniach 11-19 stycznia na zebraniach kół SN i organizacyjnych w następujących miejscowościach departamentów Nord i Pas de Calais: Roubaix, Lille, Madeleine, Erquinghem-Les, Pecquencourt, Lens-Avion, Bully Montigny. W Avion nowi członkowie SN złożyli ślubowanie organizacyjne, a w Sallaumines powstało nowe Koło SN z kierownikiem Tadeuszem Piotrkowiczem. P. Owoc omawiał na zebraniach bieżące tematy polityczne i sprawy Skarbu Narodowego.

KOMITET JEDNOŚCI NARODOWEJ W BOSTONIE

W Bostonie, Mass., w lokalu Klubu Polsko-Amerykańskich Obywateli odbyło się 16 stycznia zebranie organizacyjne Komitetu Jedności Narodowej, z udziałem przedstawicieli stronnictw politycznych, reprezentantów stowarzyszeń społecznych i szerokiej publiczności.

Telegramy i listy gratulacyjne nadesłali gen. K. Sosnkowski, T. Bielecki przewodniczący Rady Jedności Narodowej, Z. Stypułkowski z Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, o. M. Szymański z Lawrence, S. Angerman przewodniczący Wydziału Wykonawczego Komitetu Jedności z Detroit.

Zebranie otworzył imieniem komitetu organizacyjnego inż. S. Ziembiński. Przewodniczył zebraniu Witold Nurczyński. Referaty wygłosili W. Jędrzejewicz o sytuacji międzynarodowej i red. K. T. Jaskólski na temat „Wewnętrzne życie polskie". Po dyskusji nad referatami przystąpiono do wyborów. Przewodniczącym Wydziału Wykonawczego Komitetu wybrano mec. W. Wiśnioskiego, obecnego prezesa komitetu Skarbu Narodowego w Bostonie, pułkownika wojska amerykańskiego. Jako członkowie weszli do Wydziału Wykonawczego z ugrupowań politycznych M. Drożdzik (PPS), W. Jędrzejewicz (Liga Niepodległości), W. J. Pisarski (Stronnictwo Pracy — Komitet Zagraniczny), W. Stefański (Stronnictwo Narodowe), M. Zakrzewski (Stronnictwo Narodowe), S. Ziembiński (Liga Niepodległości), a z odcinka społecznego W. Dudziński, S. Najder, Witold Nurczyński, Władysław Nurczyński, L. Petrykowski,

T. Rurak i P. Wcisło. Z zespołu wybrano sekretarzem S. Ziembińskiego, skarbnikiem M. Zakrzewskiego. Do Komisji Rewizyjnej weszli J. Knop, J. Maćkowiak i H. Tycner.

Po dyskusji nad planem pracy Wydziału Wykonawczego Komitetu zgromadzeni jednogłośnie uchwalili rezolucję, w której wyrazili pełne zaufanie władzom Zjednoczenia Narodowego i uznanie gen. Sosnkowskiemu.

Na zebraniu przeprowadzono doraźną zbiórkę na Skarb Narodowy.

STRONNICTWO DEMOKRATYCZNE W RADZIE JEDNOŚCI

Komitet Zagraniczny Stronnictwa Demokratycznego ogłosił w dniu 12 stycznia w Londynie komunikat, zawiadamiający o decyzji opuszczenia „Polskiego Narodowego Komitetu Demokratycznego" (Mikołajczyka) i przystąpienia do Rady Jedności Narodowej. Komunikat podpisał przewodniczący Stronnictwa Demokratycznego dr Stanisław Olszewski.

PIETRKIEWICZ PO DUŃSKU

Powieść Jerzego Pietrkiewicza „The Knotted Cord" przetłumaczona została na duński i wyszła pod tytułem „Den lille munk" (mały mnich) nakładem największej firmy wydawniczej w Danii H. Hirschsprungs Forlag, w tłumaczeniu Else Kornerup. Przyjęcie jej przez krytykę literacką i publiczność było gorętsze jeszcze niż w Wielkiej Brytanii. Jeden z krytyków twierdzi, że jest to najlepsze dzieło powieściowe jakie wyszło spod pióra Słowianina od wielu lat. Paru krytyków zwraca uwagę na na wskroś oryginalny stosunek do wspomnień dzieciństwa, a wszyscy niemal podkreślają poetycką wartość powieści. Niektórzy piszą o zupełnie nowym ujęciu tematyki folkloru.

LISTY DO REDAKCJI

JESTEM OPTYMISTA

Szanowny Panie Redaktorze,

Naprawdę z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Wojciecha Wasiutyńskiego pt. „Kryzys rozpadowy czy ozdrowieńczy". Powiedział on w tym artykule mniej więcej to, o czym ja sam myślałem dawno.

Jest dziesięć lat od zakończenia wojny, dziesięć lat minęło od początku okupacji kraju przez komunistów, a my ciągle żyjemy w stanie prowizorycznym, ciągle płacimy składki na organizacje skazane na zanik w ciągu paru najbliższych lat.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, którego ja jestem członkiem, niewątpliwie jest organizacją, do której moje dzieci nie będą mogły należeć, bo to stowarzyszenie za lat kilkanaście nie będzie istnieć. To samo stosuje się do wielu innych organizacji.

Mamy tam prezesów, wybory, działalność, ale nade wszystko mamy tam kapitał, który powoli się kurczy, aż wreszcie zaniknie wydany na działalność, która właściwie nie ma przyszłości.

Powstają lub muszą powstać organizacje dostosowane do naszego codziennego życia i naszych codziennych potrzeb.

Musimy przyzwyczaić się do myśli, że większość z nas prawdopodobnie do Polski nie wróci, a jeżeli wrócimy, to będziemy za starzy, aby coś tam móc zdziałać.

Musimy jednak pamiętać o nowym pokoleniu, które Polski nie widziało, które się urodziło na ziemi obcej, które nie mówi dobrze po polsku, ale które musimy nauczyć myśleć polskimi kategoriami, które by tę Polskę, kraj nieznany, uważało za swoją ojczyznę i dla niej pracowało w przyszłości.

Takimi organizacjami już istniejącymi jest Polska Macierz Szkolna, która nie może rozwinąć prawdziwej działalności ze względu na brak funduszy, które są przejadane przez organizacje kombatanckie, utrzymujące płatnych sekretarzy i prezesów, mające domy prowadzone przez dyletantów, dające straty, które trzeba pokrywać z kapitałów centrali.

Inną organizacją już istniejącą, a moim zdaniem mającą przyszłość jest Anglo-Polish Society. To co piszę, piszę na podstawie obserwacji miejscowego koła. Nie wchodząc w to jakie cele kierowały założycielami tego stowarzyszenia, prawdą jest, że nasze miejscowe koło i inne koła, pracują wybitnie dla dobra Polaków, biorąc udział w obchodach narodowych, popierając miejscową szkołę sobotnią, opiekując się Polakami chorymi w szpitalach.

Obok Anglików pracują tam Polacy bez względu na swe przekonania polityczne.

W obecnym zarządzie birminghamskim jest jeden augustowiec, jeden narodowiec i jeden socjalista.

To jest organizacja, która może skupiać w przyszłości Polaków z pochodzenia, nie mówiących po polsku, ale cennych dla narodu, których liczba za parę lat będzie wcale pokaźna.

Potrzebne są organizacje lokalne, utworzone dla celów lokalnych.

My się emocjonujemy sprawą zjednoczenia, sprawą kto zostanie prezydentem na miejsce p. A. Zaleskiego, czy Stronnictwo Ludowe Mikołajczyka przystąpi do zjednoczenia itp. To są wszystko zagadnienia na dzisiaj, złączone z polityką światową, z propagandą sprawy polskiej na zewnątrz, ale co będzie jutro?

Można mnie nazwać pesymistą, że nie wierzę w natychmiastową zmianę sytuacji światowej. To nie jest prawda, ja jestem optymista, wierzę w geniusz narodu polskiego, wierzę w jego przetrwanie. Chcę jednak, by w ciągu lat, które nas dzielą od wyzwolenia, byśmy ponieśli jak najmniejsze straty w substancji tegoż narodu, a dlatego musimy przystosować nasze formy organizacyjne do czasów, które nadchodzą.

Łączę wyrazy szacunku

Dr W. Juchnowicz

Birmingham

NA MARGINESIE

KONTAKTY P. MACKIEWICZA

W numerze z 15 czerwca ub. r. pisaliśmy, że farsa „rządu" Cata rozpoczęła się od konferencji prasowej, na której m.i. postawiono Catowi pytanie, czy i ile razy widział się z reżimowym ambasadorem Putramentem. Po tym pytaniu, nikt z uczestników konferencji nie zadał dalszego.

Ostatnio, w „Orle Białym" z 15 stycznia p. K. Hrabyk pisząc o konferencji prasowej z Catem w Nowym Jorku podaje:

„... Kiedy następnie p. Mackiewicz rozwiódł się szeroko nad sprawą Bergu, bardzo stanowczo gromiąc uczestników tej sprawy za niestawienie się przed sąd obywatelski, jeden z dziennikarzy zapytał go, czy jest prawdą, że p. Mackiewicz po wojnie pozostawał w osobistym kontakcie z ambasadorem komunistycznego reżimu warszawskiego Putramentem w Paryżu.

Pytanie to zdetonowało p. Mackiewicza, który bardzo niepewnym głosem, najpierw się zająknął, a następnie powiedział, że na pytanie to nie odpowie ...".

„TAJEMNICA OCHOTNICZKI"

Torontoński „Głos Polski" zamieścił wspomnienia z wojska w Egipcie p. Jadwigi Drozd pt. Przyczynek do historii „naczelnego wodza". Ze wspomnień cytujemy niektóre charakterystyczne wyjątki:

„... Na jedno z ćwiczeń praktycznych przybył gen. Tokarzewski. Poprzedzała go ustalona opinia.

Tego dnia był w swoim wisielczym humorze. Stanął przed frontem. Wydzielił grupę najstarszych, wśród nich Marzenka P., Ziuta H., kobiety, które z tytułu wieku mogły oczekiwać pewnych względów. Miały je u żołnierzy,

miały je wśród młodszych koleżanek, ale nie u gen. Tokarzewskiego...

Rozpoczęło się widowisko.

— Padnij!... Powstań!... Biegiem!... Stój!... Padnij!...

I tak w kółko.

Z kobiet leją się strumienie potu. Leją się ciurkiem łzy zmieszane z piaskiem.

Kpt. Kieras melduje gen. Tokarzewskiemu kompanię gotową do ćwiczeń egzaminacyjnych. Wódz pozwala na rozpoczęcie.

Jako najniższa wzrostem stoję na końcu lewego skrzydła. Uchodziłam za dobrą i zdyscyplinowaną uczestniczkę kursu, dlatego też wybór kpt. Kierasa pada na mnie. Wydaje rozkaz:

— Pani Drozd obejmie kompanię!

Truchleję. Znam repertuar gen. Tokarzewskiego. Wiem, co za lawina potoczy się z jego ust na tę nieregulaminową formę rozkazu. Istotnie.

Skurcz grymasu na twarzy wodza i zaraz potem głos drwiący, skandowany:

— Pani!? Może hrabina, może księżniczka... a może k r ó l o w a?!

Staję przed frontem i głosem, którego nie powstydziłby się stary szef męskiego oddziału, rzucam:

— Baczność!

W tym momencie czuję, jak od tyłu, poprzez moje prawę ramię, sięga czyjaś ręka i dociera do lewej kieszonki mojej bluzy, w której tkwi — wsunięta głęboko — zmięta w kułak chusteczka. Nie jakaś frywolna, koronkowa, wystająca kokieteryjnie brzeżkami, ale zwykła. Bodajże kolorowa chustka, którą wtłamsiłam do tej kieszonki, by mieć ją pod ręką dla przetarcia zasypanych piaskiem oczu.

Wytrawne oko pana generała przeniknęło na dość dużą odległość nieregulaminową tajemnicę ochotniczki. Podszedł do mnie, sięgnął ręką do kieszonki nad piersią i widać było, że robi to z właściwą sobie precyzją, bo odczułam dokładnie to sięganie. Wyciągnął chusteczkę i odrzucił z taką siłą, że potoczyła się jak kamyk o dobrych kilka metrów...".

„MYŚL POLSKA“

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8. Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata: półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.)

Printed for „Myśl Polska" by Gryf Printers (H. C.) Ltd., 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11, tel. BAT 0879. 1 February 1955